

Najstarszy z komitetu rozbija lampę naftową

Ludzie, którzy po wojnie budowali elektrownie i sieci energetyczne, sami często wychowywali się w blasku świec i lamp naftowych. Zbigniew Bicki, inżynier w elektrowniach w Kozienicach i Połańcu, a w III RP m.in. prezes Polskich Sieci Elektroenergetycznych, wspomina jakim wielkim wydarzeniem było pojawienie się prądu we wsi.

Moje dzieciństwo upłynęło bez elektryczności. Żarówka w domu rodziców zapaliła się, gdy uczyłem się w ostatniej klasie szkoły podstawowej – jesienią 1960, a może wiosną 1961 roku. Dopiero wtedy zelektryfikowano kolonię wsi Garbów na Lubelszczyźnie, w której mieszkałem.

Mniej więcej w tym samym czasie we wsi Rzążeń nieopodal Siedlec przy lampie naftowej odrabiał lekcje mały Krzys Tchórzewski, przyszły minister energii. Pierwszym elektrycznym urządzeniem, z którym miał do czynienia, była kieszonkowa latarka zwana wówczas „baterijką”. – „Dostałem ją od ojca chrzestnego. Wieczorami, leżąc już w łóżku, pod pierzyną czytałem przy niej powieści – wspomina. – Szkoła podstawowa w Bzowie, do której chodziłem, też nie miała elektryczności, lekcje odbywały się przy lampie naftowej”. A pod Szczekocinami w Małopolsce elektryfikację wsi przeżywał kilkunastoletni Jasio Kurp, przyszły prezes Południowego Koncernu Energetycznego. Dla tych młodych chłopaków (i dla wielu ich kolegów) podłączenie wsi do prądu było wydarzeniem, które odcisnęło się na całym ich późniejszym życiu.

Chłonałem wszystkie rozmowy, znałem każdy szczegół związany z elektryfikacją. Nie odstępowałem na krok monterów, przyglądałem się ich pracy. Polubili mnie, pozwalali zakładać izolatory na uchwyty, a w końcu dali mi słupozazy (specjalne buty, po których wchodziło się na słup, przyp. aut.) Pamiętam pierwsze wejście na słup – wyszło całkiem zgrabnie, jednak nie potrafiłem równie zręcznie zejść na ziemię. Musiałem ześlizgnąć się z drewnianego, nasączonego impregnatem słupa. Całe ubranie trzeba było wyrzucić. To mnie jednak nie zniechęciło, ponawiałem próby, aż nauczyłem się schodzić za pomocą słupozazów. Byłem dwunastoletnim chłopcem całkowicie zafascynowanym elektryfikacją, nic innego się dla mnie nie liczyło.

– opowiada Bicki.

„Od robotników pracujących przy elektryfikacji nauczyłem się, co to jest prąd, przyjrzałem się jak robią instalacje i nawet zrobiłem dwie lampki dla rodziców” – wspomina Tchórzewski.

Z wojny Polska wyszła ze znacznie lepszym wskaźnikiem elektryfikacji wsi niż do niej przystąpiła. Nie wynikało to oczywiście z jakiegoś szczególnego wysiłku organizacyjnego, choć w czasie okupacji udało się zelektryfikować 140 wsi. Po prostu ZSRR anektował najbardziej zacofane tereny na Kresach Wschodnich, a przyłączone Ziemie Odzyskane były uprzemysłowione i zelektryfikowane w ponad 90%. W 1936 roku na ziemiach, które dziewięć lat później przypadły Polsce, produkowano niemal tyle samo prądu, co w całej II RP. Osadnicy, którzy wywędrowali na Zachód, zetknęli się z zupełnie inną kulturą techniczną, co świetnie pokazano w kultowym filmie *Sami swoi*.

Jerzy Łaskawiec, późniejszy szef elektrowni w Turowie, też wychowywał się na wsi – pod Lwówkiem Śląskim. Ale lekcje odrabiał już przy żarówce, bo na Ziemiach Odzyskanych nie trzeba było podłączać wsi od zera. Wprawdzie wiele urządzeń było uszkodzonych przez działania wojenne, wywiezione do ZSRR przez specjalne oddziały Armii Czerwonej zajmujące się konfiskatą niemieckiego majątku lub po prostu rozkradzione przez grasujących szabrowników, ale mimo wszystko ponowne podłączenie tam prądu było dużo prostsze niż elektryfikacja wsi na Mazowszu czy Lubelszczyźnie.

W 1950 roku uchwalono ustawę o powszechnej elektryfikacji wsi. Była rekordowo krótka – liczyła zaledwie osiem artykułów mieszczących się na jednej kartce formatu A4. Na jej mocy państwo brało na siebie obowiązek podłączania kolejnych miejscowości do prądu, budowy transformatorów itd. Powołano Centralny Urząd Elektryfikacji Rolnictwa. W planie sześcioletnim zapisano oczywiście odpowiednio wysokie wskaźniki podłączenia mieszkańców wsi do prądu, ale – jak cały Plan – rychło okazało się nierealne. Podłączono zaledwie 37% planowanych gospodarstw.

Tworzyły się kolejki wsi, mieszkańcy wykorzystywali swoje „dojścia” do lokalnych działaczy partyjnych, aby przyspieszyć procedury. Rolnicy zakładali też komitety elektryfikacyjne, które pokrywały koszty podłączenia wsi do prądu. Odegrały one olbrzymią i pozytywną rolę – nie tylko mogły zorganizować podłączenie wsi do prądu poza oficjalną kolejką, ale uczyły też rolników samoorganizacji i wyłaniały lokalnych liderów. Zbigniew Bicki wspomina, że to właśnie presja małej społeczności przyspieszyła elektryfikację Garbowa. „Powołano społeczny komitet elektryfikacji. Na jego czele stanął mój ojciec – Bronisław Bicki. Spotkania komitetu odbywały się w domu rodziców, a w naszym obejściu składowano materiały, z których korzystali monterzy: słupki, linki, izolatory”.

Z punktu widzenia energetyków wyglądało to równie atrakcyjnie.

Inżynierowie i technicy w zakładach energetycznych robili tak zwane „fuchy”, polegające na inicjowaniu powstania komitetów elektryfikacyjnych, wydawaniu „technicznych warunków zasilania”, wykonywaniu dokumentacji projektowej, a następnie załatwianiu spraw formalnych, uzgodnień z wykonawcami, wreszcie na wykonywaniu pomiarów odbiorczych. Powstawały całe spółdzielnie elektryfikacyjne w zakładach energetycznych, które świadczyły różne usługi. Dodatkowe zarobki pracowników energetyki były o tyle istotne, że, na tle innych, pensje w resorcie były wyjątkowo niskie. Pozwalało to na utrzymanie kadry w Zakładach Energetycznych.

– opowiada Szyke.

Komitety nie bardzo podobały się władzom, zwłaszcza, że „fuchy” wykonywane przez energetyków we wsiach oraz udział prywatnego sektora nijak nie pasowały do „socjalistycznej moralności”.

Opisany etap elektryfikacji, mimo konkretnych osiągnięć, wykazał jednak i swoje braki. Nie dawał on dostatecznej możliwości oddziaływania na wieś pod kątem klasowym, obejmowania przede wszystkim gromad, złożonych z chłopów biednych mało- i średniorolnych. Komitety elektryfikacyjne nie sprawdziły się, dominowali w nich kułacy.

– donosiła na początku lat 50. „Trybuna Ludu”. „Kułakami” zwano wówczas najlepszych i najbogatszych rolników, których władza uważała za „wrogów klasowych”.

Wobec fiaska planu sześcioletniego nie ośmielono się jednak zakazać lokalnej aktywności. W sumie powstało ponad 2 tysiące komitetów.

Rozkwit ich działalności przypadł na drugą połowę lat 50. Władze jednak stawały się coraz bardziej podejrzliwe. Były to czasy, kiedy państwowe przedsiębiorstwa nie mogły kupować żadnych towarów i usług od „prywaciarzy” bez specjalnej zgody, której udzielano niechętnie i skąpo. Gospodarczy styk „prywatnego” z „państwowym” przyprawiał partyjnych strażników ideologicznej czystości o dreszcz obrzydzenia.

W 1958 roku wybuchł skandal – kierownictwo jednego z przedsiębiorstw elektryfikacyjnych na Pomorzu oskarżono o wyrafinowany proceder korupcyjny – załatwiano deficytowe materiały potrzebne do elektryfikacji wsi za łapówki.

„Działalność przedsiębiorstwa oparta została na fikcji, a nie na zdrowych podstawach gospodarczych” – tłumaczył na procesie główny oskarżony.

Już po pół roku pracy zorientowałem się, jak duże są braki materiałów i że jedynym sposobem terminowego wykonania zaplanowanych prac jest pozyskanie tych materiałów inną drogą. Kupowałem je za łapówki. Pieniądze na ten cel pobierałem od rolników, którym wyjaśniałem, że to jedyna droga. W zamian wystawiałem im fikcyjne rachunki na materiały budowlane, dzięki którym rolnicy odzyskiwali pieniądze od komitetów elektryfikacyjnych. Zasadą było, że łapówka wynosiła połowę oficjalnej ceny deficytowego materiału.

Oskarżeni otrzymali kilkuletnie wyroki. Wkrótce zlikwidowano możliwość zakładania komitetów elektryfikacyjnych. Ich rolę przejął całkowicie Centralny Zarząd Elektryfikacji Rolnictwa i sieć podległych mu przedsiębiorstw.

Wieś szybko wykształciła specjalny elektryfikacyjny rytuał, którego najważniejszą częścią było rozbicie odchodzącej do lamusa lampy naftowej o nowiutki transformator. Często najpierw przyjeżdżał ksiądz, który święcił nowy sprzęt, a godzinę później przedstawiciel lokalnej władzy, któremu nie wypadało się pokazywać w jednym szeregu z duchownym.

Jacek Szyke w latach 60. elektryfikował ziemię kaliską.

Jako energetycy dostarczaliśmy standardowy tekst przemówienia, w którym znajdował się cytat zaczerpnięty ze słów Lenina: „komunizm to władza rad plus elektryfikacja”. Po części oficjalnej i pierwszym załączeniu elektryczności wszyscy (łącznie z księdzem, sekretarzem, władzami administracyjnymi, wykonawcami, energetykami) spotkali się w remizie strażackiej czy też w innym przestrzennym pomieszczeniu (nie wyłączając uprzątniętej na tę okoliczność stodoły) na przyjęciu. Stan pogłowia drobiu i bydła we wsi ulegał zmniejszeniu, a spotkania były obficie zakrapiane alkoholem (często samogonem). Odjazdowi z „odbioru”, często po całonocnej libacji, towarzyszyło obdarowanie energetyków podarkami (kozy, kaczki, wyroby wędliniarskie, miód, sery i tak dalej) no i oczywiście wódką. Gros prezentów i wódki wędrowało do domu, a część do miejsca pracy, gdzie w każdej chwili można było pójść „do szafy” i „pokrzepić się”.

Inżynier Józef Sołoniewicz pozostawił barwny opis elektryfikacji jednej z podtoruńskich wsi.

Zacząłem pracę w 1955 roku. Elektryfikacja rolnictwa była wówczas prowadzona prywatnie całkowicie. Był powoływany komitet elektryfikacyjny przez gospodarzy z udziałem księdza tudzież sołtysa, wójta i dyrektora szkoły – najważniejszych instytucji. Była składka, po prostu cała wioska, składająca się z dziesięciu do trzydziestu gospodarstw, dawała. I była ustalona tam taryfa. Pierwszym punktem tej elektryfikacji to było opracowanie dokumentacji. Więc przewodniczący tej całej komisji tam zebranej przychodził do rejonu energetycznego i pytał się, kto może opracować dokumentację, ale przychodził nie tylko do rejonu, przychodził też do zakładu. No i tu w zakładzie były już podzielone strefy opracowywania dokumentacji. Pan jeden inżynier miał tę strefę, tzn. wioski na północy, inny na południe i tak dalej, no bo można było zarobić parę groszy. I po godzinach pan inżynier, względnie pan technik, brał kroczkę taką dwumetrową i z tą

kroczką chodził po tej wsi i mierzył od słupa do słupa ile trzeba było słupów i tego wszystkiego. Po pewnym czasie została opracowana dokumentacja. Za tą dokumentacją zawsze stał jakiś wykonawca, który miał wykonać elektryfikację, oczywiście ta elektryfikacja była na słupach drewnianych i rozpoczynała się wtedy, kiedy dokumentacja została zatwierdzona. Jak dokumentacja została zatwierdzona, projektant wziął pieniądze, dostał dokumentację wykonawca jako taki. To był rzemieślnik, prywatny rzemieślnik z uprawnieniami. Mistrz swoich pracowników. Ten wykonawca, przeważnie gdzieś przez miesiąc, dwa, czy trzy najpierw musiał dostać zaliczkę od tego komitetu, a potem mówił, ile to będzie kosztować i komitet zbierał odpowiednie pieniądze. Najczęściej w te wioski wchodziły kościoły również, które on elektryfikował. Pan kierownik rejonu ustalał termin odbioru. Gospodarze ustalali: każdy kurę, po dziesięć jaj, no i odpowiednią ilość alkoholu, piekli chleb, była kiełbasa, zarżnęli często prosiaka. To były czasy, kiedy było biednie, ale strasznie życzliwie. Oni sobie odmawiali od gardła, a dawali na elektryfikację. No i komisja przyjeżdżała, usiadła, przewodniczący usiadł za stołem. To było u gospodarza, w remizie, świetlicy, czasem na plebanii. Oczywiście nie było mowy o jakimkolwiek picciu przed decyzją, że obiekt może być załączony pod napięcie. No i teraz następuje podpis protokołu, stoi cała elita piętnastu chłopów, kobitki, rosół się już gotuje, jest naprawdę taki moment wyczekiwania, czy się zaświeci, czy nie zaświeci. I ksiądz jest w pogotowiu, i lampa naftowa jest przygotowana. No i następuje moment załączenia wyłącznika. Idą wszyscy do transformatora, cała komisja z księdzem z kropidłem, ksiądz kropi tym kropidłem, a najstarszy z komitetu bierze lampę i rozbija o transformator. Przewodniczący bierze rękawiczki gumowe, bierze rączkę od wyłącznika i... trzask... błysk, wioska świeci! Wielkie święto!

Jeszcze w latach 90. Sołowiec zaczął przechodzić. „Panie, pan nam światło dał. Wioska Łobdowo”.

Czasami próba podłączenia prądu kończyła się fiaskiem, a energetycy musieli jak niepyszni wracać do domu. Ryszard Michniewski wspominał przygodę we wsi Żołnowo koło Bydgoszczy.

Pojechaliśmy i nie mogliśmy podłączyć, a w szkole w tej wsi zaplanowane było przyjęcie. I żeby zrobić frajdę, podłączyliśmy jakąś prowizorkę. Światło zabłyśnięcie w szkole i zaczęła się zabawa. Zaprosili nas do środka, siedzieliśmy przy stole, a tu nagle lecą kamienie przez okno. Rzucali ludzie ze wsi, jak zobaczyli, że w szkole jest prąd, a u nich ciemno. Trzeba było się ewakuować [...], ale ludzie się zbiegli, złapali samochód i podnieśli do góry. Kierowca na gaz i nic, reszta zaczęła rzucać kamieniami w blachy samochodu. Myślałem, że nas ukamienują, ale w końcu udało się odjechać. Potem trzeba było wrócić i podłączyć prąd.

Ale takich przypadków było niewiele. Energetycy byli witani we wsiach jako zwiastuni nowej epoki światła a praca dawała im niesamowitą satysfakcję. „Jakie to wspaniałe uczucie, gdy wszędzie ciemno i nagle... Rozjaśnia się wszystko” – cieszył się Michniewski.

Niewątpliwie podłączenie polskiej wsi do prądu było jednym z największych osiągnięć PRL. W 1964 roku już 80% wsi (i 74% gospodarstw) miało prąd. Od 1951 do 1974 roku

w ramach elektryfikacji wybudowano 60 tysięcy wiejskich transformatorów, 85 tysięcy kilometrów linii wysokiego napięcia. Standard elektryfikacji nie był zbyt wyśrubowany – dwa lub trzy „punkty świetlne” oraz jedno gniazdko. – „W Rządzie wszyscy kupowali żyrandole, a potem i tak świeciła się jedna żarówka” – śmieje się Krzysztof Tchórzewski.

Stodoły, obory i kurniki miały tylko jeden „punkt” świetlny. Dopiero po liberalizacji polityki wobec rolnictwa w 1956 roku zaczęto odpłatnie montować mocniejsze instalacje, ale umożliwiały tylko pracę małych silników jednofazowych o mocy 1,5 KW.

W przyszłości okazało się to olbrzymią przeszkodą dla rozwoju wysokotowarowego rolnictwa, które wymaga przecież przede wszystkim zastosowania dobrych silników elektrycznych. O tym jednak decydenci przekonali się dopiero w latach 70.

Rafał Zasuń